№ 1. Warszawa, dnia 24 Grudnia (5 Stycznia) 1880|1 r. Rok II.



PISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE DLA KOBIET, WYCHODZĄCE W KAŻDĄ ŚRODĘ.

POŚWIĘCONE LITERATURZE, WSZELKIM GAŁĘZIOM PRACY KOBIECEJ ORAZ MODOM.

Warunki prenumeraty Edycyi I-ej, w Warszawie: Mesięcznie kop. 42, kwartalnie rs. 1 kop. 25, półrocznie rs. 2 kop. 50, rocznie rs. 5. Na Prowincyi: Kwartalnie rs. 1 kop. 60, półrocznie rs. 3 kop. 20, rocznie rs. 6 kop. 40.

ADRES REDAKCYI: ulica Niecała Nr 8.

Warunki prenumeraty Edycyi II-ej, w Warszawie: Miesięcznie kop. 75, kwartalnie rs. 2 kop. 25, półrocznie rs. 4 kop. 50, rocznie rs. 9. Na Prowincyi: Kwartalnie rs. 3, półrocznie rs. 6, rocznie rs. 12.

DO....

Obraz wspaniały—góry i skały
Przed sobą mam;
Lecz obraz w myśli—inny się kreśli:
Jam duszą tam!
Wśród obcych ludzi—serca nie zbudzi,
Przyrody cud;
Obce tu zdroje—góry nie moje,
Nie mój tu lud.
Smutno też płaczę, na dni tułacze,
Brak w piersi tchu;
Łzy me i żale—jeziora fale
Zliczyły tu.
Nad Alp szczyt biały—nad lodozwały,
Świat milszy znam;
Ach! dla mnie jeden—na ziemi Eden:
Jam duszą tam!

Seweryna Duchińska.

ś. p. Róża z hr. Łubieńskich

SOBAŃSKA.

(Wspomnienie pośmiertne).

Coraz bardziej zatraca się tradycya dawnych matron polskich; cnoty ich, ciche zasługi, nieograniczenie miłujące bliźnich serca, niestety w obecnem pokoleniu nie spotykają się prawie. Są one jak drogoskazy dla ludzkości, a cześć dla nich od pokolenia do pokolenia przechodzić powinna, bo na życie takie złożyły się: gorąca miłość kraju, współczucie na niedolę bliźnich, surowe niemal pojęcie obowiązku i ciche poddanie się woli Bożej.

Chcemy tu kilku słowami uczcić pamięć Róży Sobańskiej, zgasłej w Warszawie 9-go zeszłego miesiąca.

Była to prawdziwa *ewangieliczna niewiasta*, która nietylko datkiem wspierała potrzebujących, ale obdarzała ich pociechą współczucia. Nikt od drzwi jej odepchnięty nie odszedł, każdemu wolny przystęp dozwolony był do tej pani, która, z cierpiącemi cierpieć umiała, nad każdą boleścią bolała, bo była uosobionym aniołem miłosierdzia.

Pochodziła z rodziny słynnej z zasług obywatelskich. Ojciec jej, Feliks hr. Łubieński, poseł na sejmie 4-letnim, starosta Nakielski i minister sprawiedliwości za księztwa Warszawskiego, był osobistością wybitną, w czasach owych. Imię jego stało się głośnem, jako obywatela godnego, poświęcającego sprawom publicznym wiedzę swą i mienie.

Matka, Tekla z Bielińskich, córka Piotra, cichemi cnotami domowemi niosła przykład swym dzieciom i wyhodowała zacnych synów i córki, będące chlubą kobiet.

Ś. p. Róża urodziła się 8 września w Guzowie 1798 roku i była ostatniem dziecięciem w licznej rodzinie. Na chrzest jej zjechał ks. biskup Albertrandy, cała gromada włościan podawała do chrztu dziecię pańskie, które widać już w owej chwili, sercem zespoliło się z prostaczkami.

Czyż nie wzruszający był widok, gdy potomkowie owych włościan, w kilkadziesiąt lat później nieśli na barkach ciało swej pani, chrześniaczki ich dziadów, dawno w grobach ległych!

Dla ś. p. Róży szczęsne dni dzieciństwa wcześnie się skończyły, w ósmym roku straciła matkę, dojrzewała wśród burz wojennych i nieszczęść, które zahartowały jej charakter na przyszłe, pełne cierni życie.

W roku 1821 poślubiła Ludwika Sobańskiego obywatela na Podolu. Oddana cała obowiązkom rodziny, otoczyła serdeczną pamięcią biednych w swych włościach; sława Jej cichego, pełnego zasług życia, szeroko się rozniosła, jednając szacunek powszechny.

Lecz nie długo błogie dni trwały, w pięć lat po ślubie opuściła dom, aby zabiegami swemi i staraniem wyjednać uwolnienie uwięzionego małżonka. Cnoty jej i poświęcenie, powróciły go na łono rodziny, lecz nie na długo, gdyż musiał wkrótce kraj opuścić i na dalekiej osiąść północy. Nic ś. p. Róży w domu zatrzymać nie mogło: ani zarząd dóbr tak rozległych, ani wzgląd na swe wątłe zdrowie, po chorobie niedawno przebytej, ani dzieci drobne, ani rodzina własna. Porzuca kraj i wyjednywa pozwolenie na pobyt z mężem.

Tu otworzyło się pole na nieograniczone miłosierdzie niewiasty chrześcijańskiej. Z zapomnieniem o sobie, ś. p. Róża poświęciła się nieszczęśliwym rodakom, pielęgnowała chorych, krzepiła na duchu upadających, niosąc wszędy pomoc i pociechę.

Odtąd stała się prawdziwą matką wygnańców. Do ostatnich chwil życia losem się ich zajmowała, przesyłając datki, książki i listy swe, które jak relikwie obiegały z rąk do rąk, niosąc wszędzie błogosławieństwo i osłodę.

Po dwuletniej niedoli ś. p. Róża, z mężem wróciła do kraju; lecz tu niedługo cieszyła się spokojem, nowy cios w nią uderzył: została wdową. Zgadzając się z wolą Bożą, niezwykłą rozwija energię w wychowaniu dzieci, w zarządzie licznych włości, rozciągając opiekę nad poddanymi i biedakami. Sama osierocona, przygarnia sieroty, które mają w niej opiekunkę niestrudzoną. Rozwija przytem ś. p. Róża działalność obywatelską: zakłada szpitale, szkoły, z niesłychanym trudem i wśród ciągłych przeszkód, szwalnie dla dziewcząt, gdzie jej wychowanki uczą się uczciwie na życie pracować.

Ileżto dziewcząt biednych, wychodząc za mąż dostawało posagi, w każdej potrzebie mając i dłoń tej świętej niewiasty i serce otwarte. Niedość jest rzucać jałmużnę, ale potrzeba ją umieć rozdawać i wiedzieć komu i kiedy ją udzielić. Umiejętność tę ś. p. Róża w najwyższym stopniu posiadała, z miłością łączyła hojność jakby pomnąc na to: że kto sercem daje, dwa razy daje.

Słodyczą i spokojem tchnęła cała jej postać, odzwierciedliło się w niej całe to ciche i święte życie. W cichości spełniała swe dobre czyny, a jednak rozgłos ich rozszedł się daleko i tłum kilkutysięczny towarzyszył zwłokom, ostatniej matrony polskiej do wiecznego schronienia.

Cześć jej pamięci, postawiła ideał niewieści tak wysoko, opromieniła takim blaskiem niespożytej



chwały swe imię, że nigdy nie zgaśnie pamięć Róży Sobańskiej, matki nieszczęśliwych i sierot. Miłość nieograniczona dla wszystkich była podstawą jej czynów. Kochała i cierpiała wiele.

Marya Ratyńska.

W KRAINIE ZŁOTA.

NOWELLA.

PRZEZ

LITWOSA.

(Ciąg dalszy).

IX.

Zamiary na przyszłość.

Panna Monteray poczęła być ulubienicą miasta, mimo tego iż nikt z mieszkańców nie umiał sobie zdać sprawy z pytania, dlaczego osoba tak młoda, widocznie bogata i widocznie tak różniąca się wychowaniem i przyzwyczajeniami od mieszkańców dalekiego Zachodu, porzuciła uobyczajone Stany Wschodnie, a przeniosła się na dzikie pustynie, gdzie warunki życia były surowe, a nawet niebezpieczne.

Mogło to wydawać się wielu dziwnem, tem bardziej gdy się dowiedziano, iż ów towarzyszący jej jasnowłosy, nie młody mężczyzna i jego ślepa córka nie byli wcale jej krewni.

Miss Monteray była poprostu przyjaciołką ślepej dziewczynki i w rzeczywistości dla niej przybyła do Kalifornii; Mary Monteray była młodą, samotną, wolną i niezmiernie bogatą, mogła więc podróżować i przebywać gdzie jej się podobało.

Gdy małej Nelli, dla chorej, jako dla zagrożonej chorobą piersiową, wilgotny klimat był zabójczym, kazano wyjechać z Luizyany, Mary chciała ją wziąść do Włoch, ale w całej Europie był to czas rewolucyjnych zawichrzeń, a zresztą i stary Taller ojciec Nelly z powołania farmer, nie znalazłby we Włoszech sposobu do życia, zdecydowano się więc na Kalifornię.

Mary, która przy całej szlachetności charakteru posiadała usposobienie mocno-romantyczne zgodziła się chętnie na podróż, która obiecywała mnóstwo przygód.

W Kalifornii postanowiono pędzić życie farmierskie. Grunta tam nie należały jeszcze do nikogo. Niektóre rodziny meksykańskie posiadały wprawdzie tytularną własność niezmiernych przestrzeni ziemi, ale ani nie mieszkały w nich, ani ich nie uprawiały. Gospodarstwo jeśli istniało gdziekolwiek, było tylko pasterskie. Jedynie księża jezuici sadzili kukurydzę i winogrona, na południe, o 500 mil od Sacramento, w tak zwanem „Misione“ ale obok tego miasta, ani na całej Północy nie wysiewano jeszcze ani jednego ziarnka zboża.

Mąkę sprowadzano ze Wschodu, gospodarstwo więc rolne obiecywało znaczne korzyści. Taller spodziewał się w kilku latach dojść do majątku, a potem osiąść raz na zawsze w rodzinnym Nowym Orleanie.

X.

Praca i sielanka.

Upłynęło kilka miesięcy.

W okolicy Lathrop stanęły przy pomocy drwali dwa domy.

W jednym z nich mieszkał Taller z córką, w drugim Mary Monteray ze swemi murzynami i niedźwiedziem.

Osady te były odległe o dziesięć mil od głównej kolonii drwali, od których też w razie napadu Indyan, można było mieć pomoc. Ale i miejscowe siły nie były do pogardzenia, załoga bowiem złożona z 40 silnych jak dęby i zbrojnych Joloffów, mogła długo się bronić.

Kilku z nich strażowało dzień i noc w okolicy, inni zajęci byli wycinaniem dębów, platanów dla oczyszczenia gruntu pod uprawę zbóż dla Tallera.

Stary farmer wziął się gorliwie do roboty. On szukał tam pracy, gdzie miss Monteray, sielanki.

Znaleźli oboje to czego pragnęli. Mary sama mówiła, że nigdy nie czuła się tak szczęśliwą. Okolica, w której zamieszkali była jeszcze dziewiczą w całem znaczeniu tego wyrazu. W dzień huczały w niej wprawdzie tartaki, które dziesięć mil dalej drwale powznosili na biegu strumienia „Czerwonych skór,“ ale gdy tartaki milkły, żaden odgłos życia ludzkiego nie przerywał wielkiego spokoju tej pustyni. Nocą maukanisy (przedrzeźniacze) napełniały potokami trelów głuszę leśną, lub czasem z pomiędzy skał odzywał się ryk pomy. Miejscowość była ślicznie wybraną. Domy stały w dolinie po obu brzegach strumienia, czystego jak kryształ i obrośniętego płaczącemi wierzbami, ale właśnie w tem miejscu, gdzie strumień spadając z wynioślejszego tarasu, tworzył aż trzy dość znaczne kaskady. Nad kaskadami wieszały się całe festony i kotary lianów pomieszanych z łodygami „wachlii“ o kwiatach pysznych, purpurowych. Podnóża czerwonawych skał granitu, okrywały małe, ale nieprzebyte gaiki dzikich róż.

Owe granity stanowiły naokół jakoby mury oddzielające, podobną do amfiteatru dolinę od reszty świata, za niemi zaś szumiał bór czarnych dębów i drzew żelaznych.

Lekki mostek z czerwonego drzewa, rzucony przez strumień, łączył obydwa domy. Było to ulubione miejsce Mary, na którem spędzała zwykle ranki czytając, albo ucząc małą Nelly. Czasem Mary wpatrywała się także z tego mostku w dal strumienia, który zdawał się biegnąć w jakąś krainę, zupełnie tajemniczą. Bo też głębie leśne, były jeszcze naówczas tajemnicą. Wówczas Mary opowiadała biednej niewidomej Nelly, o tych cudach, które je otaczały, dziecko zarzucało ją zaś coraz nowemi pytaniami.

Niestety! pojęcia barw i kształtów nie istniały prawie w tym dziecinnym umyśle, to też Nelly wyrażała się czasem w ten sposób:

— Strumień, Mary, jest smutny, bo płacze, to ja słyszę dobrze; las także smutny i pewno stary; ale jakie są kwiaty i niebo, tego wcale nie wiem.

Mary tłumaczyła jej jak mogła, ale dziecko kończyło zwykle:

— Nie rozumiem, Mary, moja słodka, nie rozumiem.

Po chwili jednak dodawała:

— Ale tu jest bardzo dobrze.

Jakoż było dobrze. Wątłe jej piersi odżywiało powietrze balsamiczne, a suche i ciepłe, którego łagodny powiew całował twarz dziewczynki; zdala dochodziły monotonne ale dźwięczne śpiewy murzynów, których doglądał jej ojciec... Wierzby szeptały coś słodko między liśćmi, roje wielkich błękitnych motylów unosiły się nad dwiema jasnemi głowami kobiet.

— Ach! żebyś ty to wszystko mogła widzieć Nelly— mówiła Mary.

— Nie smuć się—odpowiedziało dziecko.—Ja myślę, że ty to widzisz i jest mi bardzo dobrze.

Mary przyciskała wówczas swoje różane usta do bladego czoła dziewczynki. Ten spokój i szczęście, którémi oddychała cała okolica, upajały ją poprostu.

Jednostajność życia mogła ją znudzić, ale kiedyś dopiero. Obecnie wszystko dla niej było nowem, nieznanem i wszystko odkrywała sama, a odkrywanie to stanowiło niewymowną rozkosz dla jej duszy przesyconej cokolwiek tem, co może dać świat ucywilizowany i towarzyski. Do tego zbyt wczesnego przesytu doprowadziły ją potrochu bogactwa. Składano jej w świecie hołdy z różnych powodów, ale była zbyt bystrą aby odrazu nie dostrzedz, że większa ich część szła na rachunek jej pieniędzy. Przeświadczenie to uczyniło ją cokolwiek nie ufną i sprawiło, że usta jej zaznały smak pewnej goryczy życiowej. Tu gorycz tę koiła prawda i szczerość pustyni. Przytem Mary nie kochała dotąd nikogo więcej od małej Nelly.

Gdy upał spędzał ją z mostu, Mary szła czytać pod werendę swego domu. Przywiozła ze sobą wóz książek. Potem o południu szła na „lunch“ do domu Tallera: następnie przychodziła pora siesty.

Wieczorami jak tylko krąg słoneczny chował się w wycięcia wysokich skał, brała strzelbę i udawała się na polowanie, a za nią wlókł się leniwo jej „Baby“ kołysząc wedle niedźwiedziego zwyczaju olbrzymim łbem na obie strony.

Tak straszliwa eskorta zabezpieczała ją od wszelkiego niebezpieczeństwa.

Czasami odwiedzał osadę jenerał Sutter, który w bardzo prędkim czasie przylgnął do tych jedynie porządnych ludzi na pustyni. Nie zdawał i on sobie dobrze sprawy z tego, dlaczego taka miss Monteray siedzi w lesie, ale zresztą był bardzo kontent z tego.

Czasami także Mary w towarzystwie „Baby“ a często i starego Tallera odwiedzała „swych gentlemanów“ w mieście. Dla miasta każda jej wizyta była uroczystością. Kochano ją tam jak wspólne dziecko, zwłaszcza, gdy okazało się, że dziecko to w razach potrzeby umie pielęgnować chorych i rannych. W mieście, dzięki jej wpływowi i łagodniejszym uczuciom jakie umiała budzić w surowych duszach górników, obyczaje poczęły również nieco łagodnieć.

Straszny dąb mniej często nosił ludzkie owoce. Regulatorowie z początku częstokroć zapraszali Mary na posiedzenia, ale wkrótce przekonali się że „z tą panną“ niepodobna nikogo powiesić po ludzku.

Za to ci, których ocaliła, byli „jej ludźmi“ na śmierć i życie.

Jeden człowiek tylko zniknął, jakby wpadł w wodę. Nie widywano go w mieście, nie było go między drwalami, słowem nigdzie. Mary raz przypomniała sobie owego młodzieńca, którego o mało nie zadławił jej „Baby“ i pytała o niego.

— Rows?—odpowiadano jej—dobry chłopak, pewno nie żyje.

Było to rzeczą tak jeszcze zwyczajną, że nawet i Mary nie pytała więcej o niego.

(d. c. n.)

ELISZA.

(Fragment Dramatyczny)

przez

Maryę Konopnicką.

Komnata w zamku królewskim. Na wzniesieniu zasiada król Jan, otoczony orszakiem dworzan. U wejścia wrzawa; zbiry wprowadzają Symmacha, bogatego żyda.

Rzecz dzieje się w Anglii, na początku XIII wieku.

D r e e d.

Oto jest Symmach, królu!

R u n n e r.

Dalej, żydzie!
Chcesz brodę swoją w garści mi zostawić?
Ruszaj, a prędzej!...

S y m m a c h.

O! nie szarp tak mocno!
Ta siwa głowa, biała, jako mleko,
Niechaj przypomni tobie twego ojca,
Jeśliś miał ojca!...
Wielki, dobry królu!
Ja jestem stary, jako cedr spróchniały
Z góry Libanu.,. nie mogę iść prędko!...
Rozkaż, o królu! niech te ręce puszczą
Drżącego starca... sam pójdę, by tobie
Czołem bić przed twym tronem!

K r ó l J a n.

Precz!... wstań!... Dosyć!,..
Hołd twój, przeklęty wrogu świętej wiary,
W ohydzie u mnie; tak, jak ty sam, sprośny
Wyrzutku, ślepo tworzącej natury,
Pijawko, do krwi pierś ziemi tej ssąca,
Która ci chleba użycza i słońca!
— Coście znaleźli u niego?

R u n n e r.

Nic, panie!
Rozbite skrzynie—i puste szkatuły...
Świeczniki nawet—i drogie makaty
Ze ścian odarte....

K r ó l J a n.

Ha! lisie ty stary!
Zapłacisz ty mi!... Mów, gdzieś ukrył skarby?...

S y m m a c h.

Co? ja ukryłem skarby? ja, o królu!...
Kto to powiedział?... to jest potwarz, panie!
Ja jestem żebrak siwy!... jestem nędzarz!
Nie mam nic, królu! nic! Jeżeli kłamię,
Niechaj mi język przyschnie, jak skorupa
Do podniebienia!... niechaj....

K r ó l J a n.

Milcz, bluźnierco!
Szatan-by twoje spisywał przysięgi!
Nędzarz! ha! chciałbym takim być nędzarzem!
Ja w całej mojej królewskiej koronie
Dyamentów takich nie mam, ni szafirów,
Jak ty, lichwiarzu, w skrzyniach swych!...

S y m m a c h.

To potwarz!
O wielki królu! każ strząść moją chatę,
Od fundamentów, aż do samych szczytów;
Obacz, czy znajdzie się tam choćby pierścień,
Choć zauszniczka najlichszej roboty....
A mnie zkąd skarby?... opłaty, podatki,
Panowie sobie, rząd sobie; żyd biedny,
Nawet pachołkom okupić się musi,
Aby w spokoju pożywał chleb nędzy!

K r ó l J a n.

Po raz ostatni zapytuję ciebie,
Chcesz dobrowolnie oddać skarby?

S y m m a c h.

Królu!
Przy tobie siła! jam żebrak... nic nie mam!...

K r ó l J a n.

Ha! lisie!... Runner, Dreed, gdzie są obcęgi?
Bierzcie go! zęby mu rwać... a powoli!

D r e e d.

Dajno go tutaj!...

S y m m a c h.

Królu! jestem żebrak!...

R u n n e r.

Załóż mu knebel.

S y m m a c h.

Jestem nędzarz!

D r e e d.

Patrzno!
A toć on nie ma ni jednego zęba!

R e n n e r.

To patryarcha, ma Mojżesza brodę! (*śmieją się*)

K r ó l J a n (*z wściekłością*).

Przeklęty oszust!... jak śmiałeś, zuchwalcze,
Króla swojego podejść tak nikczemnie?
Czekaj, ty żmijo! ja ci wyrwę żądło,
I za te stare zęby pokruszone,
Szczękę ci strzaskam!... Bij go w twarz!...
(*Runner daje mu policzek*).

S y m m a c h.

Jehowah!...

(*wbiega, tłum rozpychając, Elisza, córka Symmacha*).

E l i s z a.

Ojciec! mój ojciec!... stój, ty krwawa ręko!
Nie tykaj starca!...

S y m m a c h.

O, dziecko nieszczęsne!
Po coś ty przyszła tu?... idź!... idź!...

E l i s z a (*rzuca się do nóg królowi*).

Litości!...
Litości, panie!... to mój ojciec siwy,
Co mnie wychował, wypieścił z maleńka,
Na ręku nosząc mnie przy swojem sercu!
Królewscy ludzie zabrali go z domu...
Lecz on nie zrobił nic złego! przysięgam!
Nie daj go krzywdzić, królu!... każ go puścić!
Niech go ten straszny człowiek nie dotyka!...

K r ó l J a n.

Precz!... weźcie mi ztąd tę dziewkę!...

E l i s z a.

Litości!...
W prochu, u stóp twych, błagam cię, o panie!
Tyś jest król mocny! a ludów zbawienie
Jest w twem obliczu!... Zechcesz że się pastwić
Nad głową, białą, jako jabłoń w kwiecie?...
Czemże ty będziesz, o królu! gdy blady
Starzec ten, męki swojej tron zasiędzie—
I w bezbronnego bólu majestacie
Krwi swej, królewską przywdzieje purpurę?

J e d e n z d w o r z a n.

No, ta ma zęby!... i jakie!

S y m m a c h (*z przerażeniem*).

Elisza!...
Uchodź!... uciekaj!...

K r ó l J a n.

Na mą cześć, myśl przednia!...
Trzymać tę dziewkę!...
Słuchaj, stary lisie!
Tu, w twoich oczach, wyrwać jej rozkażę
Do ostatniego, wszystkie białe zęby,
I trzymać ją tu będę zakrwawioną,
Mdlejącą z bólu, dopóki nie wyznasz,
Gdzieś ukrył skarby!

S y m m a c h.

Przekleństwo!...

E l i s z a.

To tylko?
Śpiesz się, mój ojcze! śpiesz się, powiedz prędko!
A ja się tak już przeraziłam!... Boże!
Synogarlice moje wypuszczone...
W krosnach błękitny jedwab roztargany...
Śpiesz się! wracajmy do naszego domu!...
(*milczenie*).
Jakto, mój ojcze! ty się wahasz jeszcze?
Wszak dziś Jehuba ma przybyć z pierścieniem...
Trzeba przyrządzić wieczerzę dla gości!
Śpiesz się!... (*cisza*).
Ty milczysz, ojcze?...
Dobry królu!
On się przeraził i mówić nie może!
(*zarzuca ręce na szyję Symmacha*).
Drogi mój ojcze! uspokój się!... widzisz,
Król jest łaskawy, dobry, on nic złego
Nie zrobi tobie, ani twemu dziecku...
On tylko skarbów twoich chce!... o Boże...
Ty mnie odpychasz... ty patrzysz tak straszno....
I usta twoje milczą?... o mój ojcze!...
(*cisza*).
Czy tobie żal ich, tych pereł, tak bladych—
I tych kamieni, co leżą tam w skrzyniach,
Tak, jak leżały na dnie mórz i piasków;
Czy tobie żal ich?... Ależ one, ojcze,
Nie żyją! kochać ich nie można przecie!
I nie są warte jednej ludzkiej łezki!
Jehuba mówił, że mi piękniej w kwiatach,
Niźli w tych złotych przepaskach, iskrzących,
Jak błyskawice!...

S y m m a c h (*porywczo*).

Milcz, głupia dziewczyno!

E l i s z a.

Tyś gniewny, ojcze?... o, patrz! król nasz czeka...
A on też gniewnym być umie!... mów prędzej!
(*cisza*).
Miałżebyś—przebacz, ojcze!—ważyć w sercu
Twej jedynaczki mękę—i twe złoto?
Miałżebyś ty, ty, wahać się w wyborze,
I myśl okropną, krwawą, przeraźliwą,
Na jedno mgnienie oka mieć w swej głowie?
Ach! co ja mówię!... ukarz mnie ty, ojcze!
Tu, w obec wszystkich, ukarz mnie! zbluźniłam
Miłości twojej—i twym siwym włosom!
(*milczenie*).
O!...strach mi czegoś!... jak ty na mnie patrzysz...
Nigdy tak jeszcze nie patrzyłeś, ojcze!...
Zgroza tu jakaś wieje w tej komnacie
I krew mi ścina mrozem... prędzej, ojcze!
Prędzej!... tu jakieś nieszczęście się stanie!

K r ó l J a n.

Czyś się namyślił?
(*chwila wewnętrznej walki*).

S y m m a c h (*ponuro*).

Nic nie mam!

(d. c. n.)

Z TYGODNIA.

— Gdyby to z rokiem nowym zacząć nowe życie, zostawić poza sobą boleść, cierpienia, zawody, ironią losu i złe czyny; gdyby to, o gdyby rodzić się z rokiem każdym, z wiedzą przebytego

doświadczenia, a zapomnieniem tego co się przebolało i stanąć z nowemi siłami w zapasy z olbrzymem, któremu obecnie miano Rok 1881. A tu jak na domiar złego nietylko zapomnieć nie wolno, ale wyliczyć należy wszystkie grzechy roku starego, aby żałując za nie, ustrzedz się ich w roku nowym i o ile uda się naprawić złe wyrządzone. Jestto więc spowiedź powszechna przed trybunałem opinii publicznej, wypowiedziana z odwagą i gotowością, niezbędna pod klątwą popełnienia tychże samych grzechów. Jako najważniejszą rzecz, uważamy wychowanie młodego pokolenia, tego światka małego, który następnie dojrzeje zajmując miejsce po nas i z kolei źle lub dobrze zasłuży się krajowi. Otóż rok ubiegły nie zdziałał nic takiego, coby polepszyło wadliwy ustrój szkół. Wszędzie brak miejsca: ilużto dzieciom zamknięto podwoje nauki. Szkoły przepełnione, a nowych otworzyć nie dozwolono.

Przypatrzmy się moralnej szkodzie, jaką podobny systemat wytwarza w młodzieży.

Dziecko od lat kilku przygotowywało się do gimnazyum, rodzice tylko o tem mu mówili, zachęcali do nauki, przekładając, że jak skończy szkoły, zostanie człowiekiem. Malec więc się pocił nad książką; przez wakacye letnie nie miał wypoczynku, bo egzamin wstępny prześladował go jak widmo. Czas nadszedł: ojciec wiezie go do Warszawy; matka zapłakana kreśli krzyżyk nad główką syna, ufna w moc modlitwy, oczekuje powrotu męża i tej wieści uspakajającej, że skarb jej został w poczet wybranych zaliczony i czerpie wiedzę u źródła. Aż tu po dniach kilku wraca ojciec, lecz o dziwy! i syn mu towarzyszy. Co? nieprzyjęty, nie zdał egzaminu, zapytuje strwożona. Zdał, nawet dobrze, słyszy smutną odpowiedź, lecz miejsca zabrakło. Po przejściu pierwszego żalu, następuje rezygnacya: niech się w domu jeszcze ten rok uczy i chłopiec pozostaje; bierze się znów do książki, ale z niechęcią, gdyż owoc swej pracy widzi zmarnowany, przytem nie słyszy ciągłych nagabań rodziców i nie grozi mu już egzamin: coraz bardziej traci chęć do nauki, baraszkuje i rozleniwia umysł. Rok ten cofnął go zamiast posunąć w naukach, z większym też trudem przychodzi mu odbyć poprzedni egzamin, po stracie całego roku. Szczęśliwy jeszcze, gdy i teraz go nie pominą. Potrzeba na to radykalnych środków, a przedewszystkiem szkół więcej.

Szkoły wiejskie również domagają się reformy. Popęd do nauki jest rozbudzony w ludzie, trzeba go umieć podtrzymać i pobudzić. Są to jeszcze dziecinne objawy ciekawości, ochota do czytania historyjek, baśni; należy tylko chęci te pokierować, dopomódz im, a same wejdą na właściwą drogę rzetelnego oświecenia umysłu. Książki włościanie kupują chętnie, szczególniej wydawnictwa „Promyka.“ „Gość“ nie do jednej chaty zawitał. Młodzi chłopcy chlubią się znajomością czytania *na książce*, zaoszczędzają grosze i za nie nabytą z jarmarcznego kramiku niosą do domu zdobycz. Schodzą się rówieśnicy, dziewczęta; zaczyna się oglądanie obrazków, czytanie treści, uwagi, nieraz zdumiewające zdrowym sądem o rzeczy, a ojcowie cieszą się z synów mądrali i gwarząc przy kominie, wzdychają, dlaczego też oni nie *uczeni na książce*. Dobry to zwrot, szczęśliwy, pomału wykluczający pijaństwo, a zwiastujący dobrobyt, należy go tylko rozdmuchiwać i pielęgnować. Pracę około tak pożytecznego dzieła, polecamy pannom po dworach. Niech się rozejrzą w czeladzi, kto czytać nie umie, a do szkoły dla zajęć chodzić nie może, niech wie, że u panienki znajdzie pomoc i radę. Wszelkie książki niepotrzebne a zawsze dosyć ich się przewala po kątach: kalendarze zeszłoroczne, historyę świętą, dzieje narodu naszego, pozostałe po nauce szkolnej książki, niech oddadzą na użytek swej wioski, skład ich czyniąc u najpilniejszego i najwięcej zamiłowanego w nauce. Młode panny, uskarżające się na nudy, znajdą tu pole nietknięte a tak wdzięczne do uprawy; powinny przełożyć młodzieży wiejskiej, potrzebę zaprenumerowania pisma ludowego ze składek do skarbonki na to przeznaczonej; dajmy na to po kilka groszy na miesiąc od osoby, uzbiera się potrzebną sumkę na opłacenie „Gazety świątecznej“ lub „Zorzy;“ okroi się przytem jeszcze na jaką użyteczną broszurkę. Czytania wspólne koniecznie powinny być zaprowadzone, bo u ludu tak jak u dzieci potrzeba towarzyskości silnie jest wkorzeniona. Panienkom naszym na wsi, na wiązanie noworoczne wyrazimy życzenie, aby słowa te do serca wzięły i obok zajęcia się fortepianem i językami obcemi, postawiły na pierwszym planie wypełnienie, cichego a płodnego w następstwa obowiązku.

— Wieś postępuje pod względem dobrobytu, a drożyzna tak zgubny wywierająca nacisk na żywioł miejski, tu źródłem bogactwa się staje. Stan to wytwarza więcej bierny i o tyle szczęśliwy, gdy wyzwolony jest od monopolu spekulacyi żydowskiej. Gdy trudne stosunki gminne się poprawią, a służebność ureguluje, warunki bytu zmienią się na lepsze.

— Rok ubiegły w przemyśle, handlu w ogóle stosunkach miejskich o wiele gorsze rezultaty wydał. W skutek ciągłej walki i troski o byt, z drożyzny powstałej, koniecznego przezto ograniczenia się w wydatkach, poszła stagnacya w handlu. Kupcy uskarżali się w ogóle na zastój; kredyt się zmniejszył, i stosunkowo liczne upadłości nastąpiły. W miarę z takiego stanu rzeczy, wypływającej nędzy, rozwinęła się gorliwość filantropijna Warszawy. Nie skąpo było w tym roku ludzi zacnych i szlachetnych, którzy ofiarnością swą leczyć pragnęli rany bolące społeczeństwa. Rok 1880 upamiętnił na wieczne czasy dar znakomity pani Rapackiej na różne cele mądrze obmyślane. Obok tego hojnego zapisu, widzimy pomniejsze z równie szlachetnych pobudek wynikające.

— W podobnym duchu napisała pani Orzeszkowa obrazek dramatyczny p. t.: „Pokociło się“ i „Dam nogę.“ Pierwszy raz autorka użyła tej formy, a dała rzecz piękną i żywotną. To zagadkowe w tytule „Pokociło się,“ „Dam nogę“ jest zestawieniem dwóch prowincyonalizmów: litewskiego i koroniarskiego i ztąd wywiązuje się antagonizm między dwoma braćmi. Idzie sprzeczka dość żywa o wadach i zaletach Litwinów i Koroniarzy już przychodzi do zwady i wybucha ostrym dysonansem niezgody, gdy wchodzi Jadwiga, żona Litwina, siostra Koroniarza i czyta prześliczny wstęp „Pana Tadeusza“ Mickiewicza, który jedna zapaśników i przyprowadza do upamiętania dzieci jednej ziemi.

Autorka porusza tu rzecz o wiele ważniejszą, jakby się zdawać mogło: przypomina umysłom zajętym niegodnemi swarami prowincyonalizmu i dziwactwami zaściankowemi, wyższe, uczucia podnioślejsze. W przeglądzie literackim obszernie o zaletach utworu tego pomówimy, zaznaczając tu jedynie obywatelską zasługę pani Orzeszkowej.

— „Kuryer Warszawski“ zrobił niespodziankę swym prenumeratorom, wydając numer noworoczny z treścią doborową, na którą złożyły się pióra dzielnych jego współpracowników, a są to imiona głośne z wyrobioną i zasłużoną sławą. Na czele od redakcyi życzenie, wypowiedziane śmiało i dobitnie wyraża myśli, które bodajby się ziściły i w społeczeństwo nasze wszczepiły. Bilans roczny przez p. Bronisława Grabowskiego napisany, streszcza fakta dokonane w roku ubiegłym, wykazuje niedostatki i żąda reform na przyszłość.

Między innemi artykułami treści społecznej, jak p. Jeleńskiego „Dla chleba,“ p. Bronisława Zawadzkiego i innych, znajdujemy pierwszy akt dramatu H. Sienkiewicza p. t.: „Na jedną kartę,“ rzecz wielkie budząca zajęcie i oczekiwana na scenie z niecierpliwością. Bolesława Prusa i Alberta Wilczyńskiego dwie humoreski. Wład. Bogusławskiego ocenę ostatniego utworu p. Orzeszkowej, kilka szkiców z podróży Sygurda Wisnowskiego i Br. Raichmana i kilka udatnych poezyi Lenartowicza, K. Brzozowskiego, Junoszy, Wacława Szymanowskiego, Tretiaka i innych. Wszystkie artykuły doborowe treścią, myślą i dążnością zacne, zasługują na wymienienie; powinszować należy Kuryerowi tak świetnego pomysłu, a zarazem podziękować za rozkosz, jaką sprawił swym czytelnikom.

M. R.

Gawędy botaniczne.

Przez

WINCENTEGO NIEWIADOMSKIEGO.

Wstęp.

Któraż z was, lube czytelniczki, nie kocha się w kwiatach czarujących barwą, zachwycających wonią, w szmaragdowej zieleni łanów opromienionych blaskami słonecznemi, w ciszy imponujących majestatem lasów, słowem w naturze, której najpiękniejszym dyademem są rośliny?

A jednak nauka tej florze przepięknej poświęcona, nie znachodzi w pośród was zwolenniczek. Spoglądacie panie z pewną niechęcią czy niesmakiem na dzieło, opisujące rośliny, odczuwacie jakiś nieprzeparty wstręt do botaniki. Dlaczego? Z przyczyny wielce prostej: pewnego dnia przeglądałyście książkę naszpikowaną łaciną, jednę z tych, w których biedne kwiaty stały się ofiarami barbarzyńskiej nomenklatury i odwróciłyście od tej książki wasze oczy.

Nie ośmieliłbym się nigdy was za to strofować, gdyż sam nieinaczej postępowałem. Przyznaję się wam, lube czytelniczki, poufnie (tylko prosiłbym zachować to w jaknajgłębszej tajemnicy), że z uporczywością godną lepszej sprawy, odrzucałem wszystkie uczone botaniki, dopóki jakiś nieubłagany fatalizm, nie zniewolił mnie ów wstręt przełamać i czerpnąć odrobinę wiedzy.

. . . .

Czy życzycie sobie, lube czytelniczki, abyśmy wspólnie rozpatrzyli się potrosze w tej nauce, w istocie wielce ponętnej, lecz niedostępnej dla ogółu, jak owe tajemnicze dogmaty, które kapłani egipscy spowijali w niezrozumiałe formuły języka? Czy chcecie przestąpić progi tej zaczarowanej świątyni, okratowane terminologią, przywodzącą do rozpaczy nowicyusza? Czy chcecie, abym stał się tłómaczem tej wiedzy wspaniałej? Upewniam was, że starać się będę wyjaśnić wam zjawiska życia roślinnego, jak najprostszym językiem.

Zaiste będzie niemożliwem, w moich luźnych gawędach, objąć wszystkie czary flory, w każdym jednak razie, sądzę, że całość jakoś się złoży i może... wzbudzi w starym umyśle, zamiłowanie do botaniki.

Z wiosną opiewaną przez bardów wszelkich narodowości, gdy przyroda budzi się z letargu, gdy myśl najobojętniejszego człowieka, nie może pokonać wzruszenia na widok jaskółek, powracających z krajów słonecznych; gdy pierś z rozkoszą oddycha wonią pierwszych bzów rozkwitłych, która zdaje się rozbudzać całą klawiaturę uśpionych nerwów, botanik doznaje nieokreślonego uczucia radości. Spogląda on z żywem zadowoleniem, na pierwsze kwiatki wychylające się z ziemi, na lichy kurzyślad i wiosnówkę, która z pod zeschłego liścia wyziera maleńką łodyżką.

Wita w nich swych dawnych przyjaciół, których mowę milczącą, lecz wyrazistą, rozumie. Tu znachodzi jaskółcze ziele ze złotawem kwieciem, tam lękliwy płucnik, poszukujący krzaków i skromny fijołek, owdzie pierwiosnkę i wietrznicę leśną.

Gdy u nas mnóstwo majówkowiczów przebiega pola, z dzikim szałem rozgniatając i niszcząc kwiaty, botanik zbiera je spokojnie i wymieniając ich chrzestne imiona, szepcze: „Tak, to ty śliczniotko, z twą przepyszną koroną i wytwornym kielichem!!“

. . . .

Rośliny w naszem istnieniu odgrywają rolę ważniejszą, niżbyśmy z pozoru sądzić mogli. Któż z nas nie przypomina sobie starej lipy, topoli lub dębu, na wsi, przed dworkiem rodziciel-

skim, które były świadkami jego zabaw dziecinnych? Pod cieniem tych drzew nucił miłosną piosenkę słowik, lub o szarej godzinie, opowiadano nam baśń o zaklętej królewnie i inne cudotworne historye. Istnieją drzewa wiążące się nierozerwanym węzłem z familijnemi wspomnieniami, wracamy do nich i wraz z ich postacią, przypominamy sobie naszą przeszłość, lata młodzieńcze, zachwyty duszy, zamarłe ideały, rozkosze i ciernie życia.

Niezależnie od tych wspomnień osobistych, drzewa reprezentują w najwyższym stopniu życie roślinne; są niezaprzeczenie węzłem, łączącym nas z przyrodą. Są one przejawem siły, harmonii i piękna. Czemże byłby krajobraz bez drzewa? Czem byłby świat bez życia roślinnego? Nietylko zawdzięczamy florze chleb codzienny, ale nadto klimat, atmosferę, chmurę, która nas ocienia, źródło, które nas orzeźwia, rzekę użyzniającą nasze pola i wszystkie elementy stanowiące nasze życie.

Jaką jest roślinność, taki lud; jaki lud, taka historya. Losy ludów zależą niekiedy od jednej rośliny, bez której warunki ich rozwoju byłyby całkiem inne.

Botanikę moglibyśmy podzielić i dzielimy na przemysłową, chemiczną, lekarską, które dotykają najważniejszych kwestyi i zadań społecznych.

. . . .

Wszelako uspokójcie się miłe czytelniczki, ograniczymy się tu tylko na części elementarnej tej nauki, poszukiwać w niej będziemy tego, za czem gonią marzyciele i poeci, t. j. piękna.

Porzucimy wszystkie nieużyteczne pakunki. Czerpniemy z terminologii, wyłącznie tylko wyrażenia nieuniknione, barbarzyńskie formuły, zastąpimy zdaniami najprostszemi, nie wypowiemy nigdy jednego słowa, nie wyjaśniając jaknajdokładniej jego znaczenia; z rzeczywistej nauki zedrzemy maskę, którą się często osłania: jednem słowem, botanikę poważną, uczoną, przerobimy na popularną, przedstawiając ją z jej strony najponętniejszej. Później, gdy znajdziecie panie upodobanie w tej nauce, nic wam nie przeszkodzi ją studyować, korzystać z dzieł specyalistów, które już wówczas przestraszać was nie będą.

. . . .

Botanika, wyraz pochodzący od słowa greckiego *botané*, oznaczającego roślinę, jest nauką zajmującą się poznaniem, opisem i klasyfikacyą roślin. Dzieli się ona na teoretyczną i stosowaną. Do pierwszej należy *organografia* i ta zajmuje się opisem organów rośliny i *metodologia*, obejmująca przeróżne klasyfikacye państwa roślinnego.

Z drugą łączy się Botanika rolnicza, przemysłowa, lekarska i geograficzna.

Co do nas, zajmować się będziemy tylko botaniką teoretyczną. Poświęćmy jednak kilka kartek historyi téj wiedzy [1]).

Nauka, której zadaniem jest poznanie roślin, jest równie starożytną jak ludzkość, gdyż już w najdawniejszych świątyniach indyjskich, znachodzimy wypisywane nazwy roślin i fantastyczne ich rysunki, powiązane z pierwszemi sentencyami teogonicznemi. Starożytni, głównie dla poznania ziół lekarskich, zajmowali się roślinami; dlatego też, znali ich wcale niewiele, określali nieudolnie, grupowali na traf, według własności, jakie podobało się im w nich upatrywać. Biblia wyszczególnia do 70 gatunków roślinnych, znanych Hebrajczykom. Starożytni Chińczycy pozostawili potomności katalogi roślin użytecznych; ludy Indostanu i Assyryjczycy opiekowali się jedynie roślinami rolnemi; co do Egipcyan, ci zaszli dalej, otaczali czcią religijną niektóre rośliny, a mianowicie te, które im dostarczały pożywienia.

Pierwsi uczeni, o których wspominają poeci greccy, są: Eskulap, Orfeusz i Chiron, centaur tesalijski [2]), Machaon i Podalir, pierwsi zaczęli porządkować wiadomości botaniczne. Homer opisuje dość dokładnie niektóre rośliny; Hezyod w poemacie swym *Prace i dni*, podaje główne roboty rolne. Po nim przychodzi Empedokles, rozpisujący się już o płci roślin i zaznaczający podobieństwo, zachodzące między nasionkiem roślinnem, a jajkiem zwierzęcem. Słynny Hippokrates wymienia w swych dziełach, do 150 gatunków roślin leczniczych; Arystoteles poświęca wprawdzie dwie księgi opisowi roślin, lecz dzieła te zatracone zostały; natomiast posiadamy prace jego ucznia Teofrasta, który w 320 roku przed Chrystusem napisał dwa traktaty dotyczące botaniki; jeden zatytułowany: *Historya roślin*, drugi pod tytułem: *Przyczyny roślinności*. Pisarz ten, upatrujący w tkance roślinnej mięśnie, nerwy, żyły i krew podobną tej, jaką posiadają zwierzęta, rozdziela świat rośliny na cztery wielkie grupy: drzewa, krzewy, podkrzewy, i zioła; Teofrast mówi o opylaniu palm, o wrażliwości czułków (Mimosa) i opisuje przeszło 400 gatunków. Jakkolwiek licha była ta klasyfikacya, utrzymywała się jednak aż do epoki odrodzenia. Po nim wymieniamy Dyoskoryda, którego Jerzy Cuvier nazywa: „najdoskonalszym botanikiem starożytności“ i naturalistą; Pliniusza, który za panowania Wespazyana, pisał dzieł mnóstwo i pozostawił nam między innemi kolosalnemi pracami, *Historyę naturalną*, kompilacyę czerpniętą z dwóch tysięcy przeszło dzieł, lecz pozbawioną całkiem ładu i wszelkiego zmysłu krytycznego.

Po tych pierwszych pionerach wiedzy botanicznej, potrzeba było oczekiwać przez długie wieki, na dzieła oparte na nowej podstawie, na materyały niemające nic wspólnego ze szmatami starożytności. Pomijamy więc Arabów, twórców Botaniki lekarskiej i Avicennę, przebiegającego Baktryanę i Sogdyanę, w której wykrył Asafoetidę i docieramy wprost do końca XV stulecia, w którem znachodzimy maleńką książkę Emiliusza Maset'a (1846 r.), obejmującą opis niektórych roślin, objaśniony nieudolnemi rysunkami. Pierwsza ta próba wywołała naśladowców, takich, jak Jerzy Valla, Th. Gaza, Marcellus Virgilius, Hermolaüs, Barbarus, Leonisens i Monardes, którzy bez wyjątku nie przedstawiają ani odrobiny oryginalności.

(d. c. n.)

UPADEK ROMANSU.

W materyi powyższej w Anglii toczą się w chwili obecnej poważne rozprawy. Pismo pozytywne „Wiek XIX“ wystąpiło z artykułem, dowodząc, iż panowanie romansu już się skończyło. Młody literat Walter Pollack wsparł pomienione twierdzenie w swojej monografii o Dumasie, a raczej o dwuch Dumasach, w której zestawił cały szereg anegdot odnoszących się do autora „Trzech muszkieterów.“ Nigdy jeszcze stary powieściopisarz nie miał takiego panegiryku. Jego przymioty, a mianowicie humor, wyobraźnia i dar spostrzegawczy podniesiono do ideału. Dumas, podług zdania Pollacka, nigdy nie był nudnym ani trywialnym. Rzeczywisty krytycyzm przenikał tę fantazyę, zasobną, jak róg obfitości, żywą i pełną dowcipu, jak wszystko, co z pod jego pióra wyszło, dowodzi. Umiał mówić o niczem, nadając temu *nic* życie. Jego rozmowy są tkane perłami, a obrazy tak porywają, że nawet niema czasu im się przypatrzeć.

Co się stało, pyta Pollack, z tą żyłką melodramatyczną w złudzeniach powieściowych? Dlaczego w utworach tego rodzaju angielskich, nie poruszają nas takie typy jak: Portos, Atos i Aramis? Gdzie podziały się owe cudowne wydarzenia, co dawniej romans przenikały, snujące przed oczyma zdumionego czytelnika złotą przędzę miłości? Czyż porwane dziewice, pokrzywdzona cnota i odwaga rycerska przestały już ogół zajmować, a nikczemność ludzka zasnęła razem z dawnemi jej malarzami? Wszak materyały rzeczone były zawsze niewyczerpaną krynicą romansu. A jeżeli z mody wyszły, to chyba na chwilę, z powodu wdania się do powieści żywiołu analitycznego i nowej szkoły psychologicznej, która w niej zajęła wszechwładztwo. Są to jednak, zdaniem Pollack'a, nie trwałe czynniki, panowanie których już nie długie.

Fikcya wszystkich czasów aż do naszej epoki, polegała na stylu melodramatycznym. Powieści Greków starożytnych były anegdotami na tle miłosnem. Bohater i bohaterka doznawali najsmutniejszych zawodów i przechodzili przez rozmaite koleje, napastowani bywali przez rozbójników, burze i ogień. Akcya była zwykle gwałtowną, sytuacye wciąż się zmieniały, a interes czytelnika wzrastał. Doświadczenie wskazuje, iż, pomimo zapuszczenia zagonów przez inne szkoły, jak psychiczna, dziejowa i humorystyczna, opisy powyższego rodzaju nader zajmują i dotąd stanowiły mogły czynnik powieściowy. Dzieje znalezionych niemowląt, przebranych książąt w szaty nędzarzy, lub dziewic wyższego świata rozkochanych w zwykłym śmiertelniku, są niewyczerpaną kopalnią dla czytelnika wszelakiego pokroju. Pomysły takie wywołują wprawdzie sytuacye nie zawsze, lub rzadko zdarzające się w świecie rzeczywistym, ale za to podbudzają wyobraźnię doniosłością samych faktów, bez drażnienia nerwów.

Nie lubiąc przygód, chętnie nadstawiamy na nie ucho. Nikt nie radby się znajdować w nieszczęściu, ale z przyjemnością słucha o klęskach, które się zdarzyły gdzieś za górami. Nadzwyczajna, nieobliczona popularność romansu melodramatycznego pomiędzy ludem, nie mającym innych pretensyi literackich, najlepszym jest probierzem gustu powszechnego i zamiłowania do powieści osnutych na tle przygód i niezwykłych wypadków. Tymczasem szkoła Dumasa, hołdująca tej metodzie, upadła. Balzac i Scott, którzy wprowadzając nowe żywioły do romansu, nie zerwali z dawną szkołą, naśladowców nie znaleźli. Analityczność i poezya, połączone z nauką, były okrasą ich utworów, lecz ich podstawę stanowiło pasmo wypadków i sytuacyi. Doświadczeni myśliciele wiedzieli, że tylko tym czynnikiem podtrzymują ciągły interes w czytelniku, nie nawykłym do fikcyi.

Okoliczność tę stwierdza gust najpoważniejszych ludzi. Na dowód moglibyśmy przytoczyć mężów genialnych, z umysłem porywającym i ruchliwym, którzy powieści miłosne czytali z takim gustem, jak pokojówki, lub modniarki. Nikt więcej romansów nie połknął od Napoleona. Po skończeniu wyrzucał je za okno, ale nie zdarzyło się, aby opuścił którą kartkę. Opowiadają, że utworami lekkiej literatury francuzkiej usłał drogę z Madrytu do Moskwy. Macaulay czytał powieści zawzięcie, nie robiąc żadnego w nich wyboru, byle tylko zajmujące. Tej samej słabostce ulegali: Horacy Vernet i Rossini, a powiadają, że Wagner i Gounod, chwile wolne od pracy, chętnie powieści poświęcają. Thackeray całe godziny spędzał przy bajkach Ducange'a. To wszystko możnaby powiedzieć o pensyonarkach i szwaczkach, które jeszcze długie lata łzy lać będą nad „Matyldą“ Sue'go. Wprawdzie moda się zmienia, lecz styl pozostaje. Już nie czytają „Manon Lescault“ ale za to połyka się namiętnie utwory Gaboriau, lub Ksawerego de Montépin.

Czytelnicy, o których mowa, prowadzą podwójne życie. Jedno przy pracy realnej, w codziennych kłopotach i staraniu o powszedni chleb; drugie, wśród czarownego snu, sprowadzonego panoramą powieści, której wszystkie typy stają się żywemi, zaś akcya fantazyjna, rzeczywistością. Ta gimnastyka wyobraźni jest istotnie cudowną: sprowadza odpoczynek i pokrzepienie. Odrywa umysł od codziennych trosk i prawdziwą stanowi rozrywkę dla ducha. Dzisiejsze powieści angielskie wyszły z granic tego stanu; nie unoszą umysłu z koła zaczarowanego realnych stosunków i doświadczenia. Nowożytny romans odbija raczej boleści w każdej chwili spotykane, drga uczuciami rodzinnemi i obywatelskiemi, przypomina o potrzebach społecznych.

Są niektóre przeciętne typy, z powodu których społeczeństwo doznaje wyrzutu sumienia, mając przed oczyma swoje ofiary. Odbywa się w nich czasem krajanie organizmu żywego, aby zajrzeć do wnętrza i wydrzeć nieszczęsnej, lub niespra-

---

[1]) Brisseau-Mirbel, Ch. Jessen. Histoire de la Botanique,

[2]) Centaury mieszkańcy górskich dolin Pelionu, przedstawiani w późniejszym mycie w postaci koni z ludzkim nad przedniemi nogami korpusem. Centaur Chiron wraz z innymi zabitym został przez Heraklesa, w czasie uczty u Folosa.

wiedliwości ludzkiej ich tajemnicę. Czytając te smutne karty prawdy życiowej, chciałoby się wrócić do pełnych wesela opowiadań Dickens'a, lub nieprawdopodobnych romansów Dumasa. Mieli oni klucz do kraju płynącego mlekiem i miodem, w którym więcej głów aniżeli serc jest połamanych, dążności bohaterów są szlachetne, ich siła równa się sile dziesięciu... to też ich nieprzyjaciele, ku radości czytelnika, padają niby kręgle!

Jaka jest przyczyna upadku romansu? Niema co powtarzać pewników, dotyczących naszego stulecia, które błyszczą nauką i kierunkiem analitycznym. Wnikanie we wszystko jest chorobą bieżącego wieku. Opowiadania o nadzwyczajnych przygodach straciły także swój urok. Staliśmy się bardzo realni—mówi Pollack—a nic nas tak nie interesuje, jak własne sprawy. Powieści muszą być pisane jak artykuły dziennikarskie, w stosunku do potrzeb danej chwili a największe budzą zajęcie, gdy jakiś współczesny skandal tkankę ich stanowi, lub gdy zawierają w sobie satyrę przeciw osobom, powszechnie znanym. Wiek obecny nie jest epoką przygód; powieściopisarze o tem wiedzieli od początku i szukali w romansie historycznym odżywienia. Dopóki szlachta nosiła miecze i podróżowała konno, a rozbójnicy istnieli na wszystkich gościńcach i siły policyjnej nie było; dopóki zresztą lenni panowie porwane dziewice mogli więzić w swoich twierdzach, powieść osnuta na tle awanturniczem, miała racyę bytu. Dla malarza fikcyi, historya Tudorów i Stuartów, Ludwików i Filipa II przedstawia niewyczerpane źródło. Ale powieść historyczna wyszła z mody. Po części autorów o to winić wypada. Zużyli swój aparat.

Naśladowcy Walter Scott'a wprowadzili typy szablonowe. „Przegląd sobotni,“ z którego czerpiemy nasze uwagi, dowcipnie wyśmiewa ich pomysły. „Na początku romansu przybywa do oberży w długich butach podróżny i oddaje sprawiedliwość pasztetowi i butelce wina, lub też polewce. Sprawy miłosne stały się zbyt jawnemi, a przygody wobec dobrze urządzonej policyi, nie przedstawiają żywiołu dla imaginacyi. Nasz bohater ma ograniczone pole działania i gdyby je przekroczył, mógłby się dostać do kozy.“ Nauka historyi zeszła się z dawnym typem romansu i wytworzyła mu niepospolitą konkurencyą. Kto zechce bawić wyobraźnią i czas tracić tylko na rozrywkę, skoro może z przyjemnością połączyć i korzyść naukową, czytając Macaulay'a, Thierry'ego, lub Szajnochę? Krytyka niemiecka robiła zarzut Walter Scottowi, że nie znał wieków średnich. Otóż te wymagania ścisłości wyrodziły nowy rodzaj powieści, podobnej do traktatu naukowego, np. „Ostatnie dni Pompei“ Bulwera, lub utwory Ebersa. Ta subtelność powoli zabije fantazyą, a gdy czynnik ten odpadnie, powieść historyczna nie będzie mieć racyi bytu.

Dzisiejsi powieściopisarze zapewne nie więcej umieją od Scotta i wiedząc o tem, nie zapuszczają się w epokę, wymagającą studyów; pomijają tedy zaczarowany peryod długich płaszczów i pałaszy, czarownic i rozbójników. To wszystko wyczerpało dawne zasoby talentu i wywołując miasto produkcyi estetycznych, nudne i długie traktaty scientyficzne, zużyło publiczność, która, zerwawszy z tradycyą, zasmakowała w nowożytnej formie gawędy powieściowej. Tak się urodził realizm, który przysposobił niwę powieści naturalistycznej. Znikła melodrama, w jej miejsce ukazała się komedya życia. Dziś żaden teatr melodramy nie mógłby przedstawić, bo i aktorzy ułożywszy się do nowego rodzaju, zatracili jej tradycyą. Epoka romantyzmu już zapewne nie wróci!

Adam Niemirowski.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Posąg, dramat w trzech aktach wierszem, napisany przez Wacława Szymanowskiego, przedstawiony po raz pierwszy d. 11 grudnia 1880 r.

Dramat powyższy pióra Wacława Szymanowskiego, odbiega nastrojem i charakterem od ostatnich utworów naszych czasów. Nie tendencya, ani realizm, ale czyste natchnienie poetyczne zeń wieje. Dramat cały trzymany jest w tonie podniosłym, a osnowa jego nader prosta nie wywołuje efektów nadzwyczajnych i wzruszeń, silnie na nerwy działających.

Bohaterką jak zwykle kobieta... Piękna Paola, namiętna, zmysłowa, spragniona uciech życia, jest żoną rzeźbiarza Carlo, artysty pełnego zapału i czciciela sztuki, którą uwielbia; lecz nad nią, nad ideał artysty, nad wszystko w świecie, kocha Paolę żonę swą. Ona mu słońcem, świętym skarbem przez niebo danym, bez niej życie byłoby dlań grobem, pustką straszliwą; dlatego myśl nawet w tak ponure obrazy się nie zapuszcza: mistrz pod tchnieniem miłości i wesołej piosenki swej lubej, tworzy coraz nowe dzieła, z których każde niemal arcydziełem się staje.

Lecz Paoli życie, we dwoje opromienione szczęściem miłości nie wystarcza: ona rwie się do świata, do ludzi; pragnie pić rozkosz z pełnej czary uciech, chce wydrzeć się z tej dusznej i ciasnej atmosfery i kiedy mąż z ojcem Aldo o ideałach w sztuce rozprawiają, a przed wyobraźnią rozkochanego artysty snuje się czarowny ideał jego miłości, Paola rzuca bez żalu męża i ucieka z bogatym margrabią Crispim.

Akt drugi we dwa lata później, przenosi nas do Florencyi. Mona Ricia sławna rozpustnica, kobieta bez czci i wiary, kochanka bogaczów, która za złoto oddaje swe uśmiechy i pieszczoty, to Paola żona rzeźbiarza. Z chatki, przez występek wzniosła się do pałaców: tu jest samowładną rządczynią a nawet jako ulubienica Medyceuszów, włada tym ludem z którego pochodzi. Dziś jest kochanką Ciniego, zgrzybiałego, wiecznie drzemiącego starca, który osypał ją przepychem i złotem, otoczył wielbicielami skłaniającymi głowy przed wszechwładnem jarzmem władczyni. Ona, Mona Ricia, już zatraciła w sobie wszelki głos wzywający do upamiętania: ostrzeżenia padre Alda przychodzą zapóźno; dla niej nie istnieje zmiłowanie Boże; ona nawet wyrzutów sumienia nie doznaje, ale sprawiedliwość dosięgnie je swą prawicą u szczytu szczęścia i ukarze straszliwie ręką tego, którym wzgardziła i cichą miłość jego odrzuciła.

Carlo po ucieczce żony, niby gromem rażony dostał obłędu; szuka w szale, swej Paoli, służąc nieraz za igraszkę tłumom, aż naraz znajduje jej posąg we Florencyi, bo cudna jej piękność w marmurze nie rzadko uwiecznianą była. Rozkochany artysta godzinami przed posągiem staje. To daje powód do żartu. Rozpustna młodzież namawia Monę, aby przybrała szaty posągu i tak upozowana zwiodła szaleńca, nagle go w zdziwienie wprowadzając, gdy ruszać się i żyć zacznie. Będzie to nowa Galatea i nowy Pigmalion. Pomysł ten zachwyca kobietę bez serca; lecz któż opisze jej przerażenie, gdy w szaleńcu poznaje Carla: wtedy ze zgrozy i trwogi kamienieje naprawdę.

Słowami rozpaczy i miłości pełnemi, zaklina Carlo Monę, aby wróciła do ich chatki, aby znów szczęście tam wniosła a z nią młodość jego i talent, bo on zgarbiony teraz i posiwiały po jej stracie. Lecz ona ma tylko dwa słowa dla niego. „nie mogę.“ Słowa te w szał go wprawiają; porywa młot, rozbija nim skroń Paoli wołając „giń“ i posąg runął strzaskany ręką tego, którego ukrzywdził i zabił na duszy.

Oto główna treść dramatu, prosta, nie zawikłana, nadająca się lepiej do dramatycznego opisu, niż do akcyi scenicznej; dlatego też dramat Szymanowskiego, choćby na scenie upadł, w literaturze niespoślednie miejsce zajmie. Oprócz głównych bohaterów, są tam postacie wybornie wystudyowane i z prawdą przedstawione, jak Beppa brata Paoli, rozbójnika zabijającego swe ofiary dla łupu, a zarazem pałającego zemstą na wieść o wiarołomstwie siostry. Beppo ginie na szubienicy, bo ta zimna istota bez serca, nawet o bracie w rozkoszach zapomina, choć jedno jej słowo uratować go może.

Padre Aldo mnich ascetyczny, jest postacią nawskroś szlachetną, odbijającą się wybitnie od tła całego przesiąkłego zepsuciem i rozpustą. Gwidon malarz, jest również osobistością dodatnią, lecz za lekko naszkicowaną. Nic pyszniejszego jak ten starzec zdziecinniały, po mistrzowsku odtworzony przez p. Leszczyńskiego. Królikowski grał ojca Aldo z wniosłą powagą, przynależną kapłanowi ascecie. Pan Rapacki z roli Scaramucia nierównie lepiej się wywiązał niż w przeciwnej swemu talentowi roli Beppa. Carla grał p. Tatarkiewicz sumiennie, chociaż zamało uwydatniał momenta dramatyczne. Panna Deryng nie koniecznie odwzorowała Paolę taką, jak ją autor przedstawił; niektóre sceny wyszły świetnie, świadcząc o pomysłowości artystki, lecz pojęcie roli wogóle nie odpowiadało intencyom autora i charakterowi Paoli. Zamało uwydatniła artystka ten chłód i brak serca w Paoli, narzucając jej wrzący, namiętnie wybuchający charakter. Nie zgadza się to z myślą główną autora.

Pan Szymanowski utworem tym dał świadectwo nie wygasającej miłości dla sztuki, szanując język, który w prawdziwie malowniczych zwrotach i obrazach opromienionych poezyą, wszędzie się przejawia szlachetny i wzniosły, pozbawiony trywialności, tak niesmacznej w utworach prawdziwej zasługi.

Marya Ratyńska.

NAD BRZEGIEM MORZA.

NOWELLA,

przekład z niemieckiego

STEFANII B.

(Ciąg dalszy).

— Jak byłaś dzieckiem?—powtórzyła śmiejąc się.—A ileż teraz masz lat?

— Szesnaście—odpowiedziałam prawie gniewnie, że mnie uważa za maleńką.

— No, drogie dziecię, chociaż mnie znasz tak dobrze, ja jednak nie mam pojęcia kto ty i pocóżeś tu przyszła?

— Przyszłam do mego ojca—odpowiedziałam dumnie—jest on słaby i chciał mnie widzieć. Nazywam się Lucy von Floor.

On odstąpił odemnie w najwyższem zdziwieniu; twarz jego pokryła się śmiertelną bladością, zdawało mi się, że za chwilę upadnie.

— Powiadasz, że baron von Floor, twój ojciec?—zapytał głuchym głosem.

— Tak.

Rozmowa nasza była przerwana nadejściem pięknej, choć nie młodej już damy wysokiego wzrostu. Była ona także bardzo blada i usta jej drżały nerwowo. Na mój widok, coś jak przestrach odmalowało się na jej twarzy. Podeszła do młodego człowieka, położyła rękę na jego ramię i wyrzekła stłumionym głosem:

— O! Adalbercie! biedny mój synu! Jak trudno przenieść to nieszczęście!

— Matko, czyś wiedziała o tem?

— Nie: do ostatniej chwili. Wuj twój tylko co wyjawił mi wszystko. O! Adalbercie! serce moje pęka na myśl, że nadzieje nasze przepadły.

— Mniejsza o to—przerwał niecierpliwie. Ale dlaczego ukrywali tę dziewczynkę? Dlaczego dawali mi nadzieję, nie mając podstawy? Wuj mógł robić, co mu się podobało, tylko nie powinien był zwodzić mnie.

Stara dama coś mu szepnęła do ucha.

— Nie, matko — rzekł — odsuwając ją lekko. Prawo nie będzie tu naruszone. To dziecię jest moją krewną i ja powinienem uledz losowi. Obrócił się do mnie i rzekł:—Lucy, oto twoja ciotka, von Denner.

Ona zimnemi ustami dotknęła mego czoła, a ja myślałam że serce moje pęknie z żalu. Żadne z nich nie znalazło jednego serdecznego słowa samotnej sierocie, która, zdawało się że wszystkim była przeszkodą. Czemu nie zostałam lepiej z moją matką, na brzegu Como, w cieniu mirt i cyprysów. Pani Denner jeszcze coś powiedziała swojej guwernantce, kazali mi zrzucić podróżne ubranie i zaprowadzili do ojca.

IV.

— Myślę—mówiła dalej Lucy—że choćbym sto lat żyła, to nie zapomnę ani jednej chwili spędzonej w domu mojego ojca, tak mocno wszystko wyryło się w mojej pamięci. Wszedłszy do jego pokoju, najpierw zauważyłam wielkie łóżko zawieszone ciężkiemi jedwabnemi firankami. Powietrze było przepełnione zapachem perfum, które zagłuszały gorączkowe wyziewy w pokoju chorego. Gruby dywan zasłany na posadzce zagłuszał kroki obecnych. Całe otoczenie chorego odznaczało się niezwykłym komfortem. Baronowa wzięła mnie za rękę i poprowadziła do ojca. Jakże zmieniła się ta twarz, tak niegdyś piękna! Widne na niej już były znaki śmierci.

— Walterze, twoja córka tutaj—wyrzekła baronowa nachyliwszy się nad łóżkiem.

— Lucy!—wyszeptał on—biedne moje, osierocone dziecię! Jakże niesprawiedliwie postępowałem względem ciebie? Spójrz na mnie! Tak, masz oczy twojej matki. Obyś tylko szczęśliwszą od niej była!

Adalbert klęczał po drugiej stronie łóżka: ojciec obrócił się ku niemu.

— Adalbercie—rzekł—i dla ciebie byłem niesprawiedliwym. Wychowywałem ciebie jako mego spadkobiercę, podczas, gdy miałem rodzoną córkę... słuchaj! Ośmnaście lat temu poznałem matkę tego dziecka, którą potajemnie zaślubiłem i nikt, prócz mego kamerdynera Gotfryda, o tem nie wiedział. Spytasz, dlaczego skrywałem moje małżeństwo? Oto duma nie pozwalała mi wyjawić, że mogąc wziąć córkę książęcego rodu, ożeniłem się z biedną dziewczyną, którą pomimo jej niezwykłych przymiotów, wstydziłem się wprowadzić w moje towarzystwo.

Nigdy chyba nie doznam takiej boleści, jak wtedy, gdym usłyszała te słowa, wymówione przez mego umierającego ojca, którego matka moja tak nieskończenie kochała, że z żalu po nim umarła.

— Przebacz mi, Lucy—mówił dalej.—To wyznanie przykre jest dla ciebie, lecz ja teraz powinienem wyjawić całą prawdę: ja wstydziłem się twojej matki i małżeństwo ukrywałem dlatego. Gdybym miał syna wtedy, objawiłbym światu moją tajemnicę: ale urodziła się córka i ja z każdym dniem, coraz więcej odwykałem od żony i dziecka, coraz rzadziej ich odwiedzałem; nareszcie umarła żona... biedna Lucy! Wiem że mi przebaczy teraz... Ja córkę kazałem przywieźć i chciałem już ogłosić moje małżeństwo; lecz myśl o tobie, Adalbercie, wstrzymywała mnie od tego kroku; nie chciałem pozbawić cię nadziei spadku po mnie, bom kochał cię jak własnego syna.

Adalbert pocałował ojca w czoło i cicho wyrzekł:

— Uczuciem i przywiązaniem, ja twój syn.

— Wahałem się wyznać przed tobą, że mała, biedna dziewczynka, pozbawi cię dziedzictwa. Ciebie obdarzałem mojem przywiązaniem a moje dziecię odsunięte od ojcowskich pieszczot, żyło w ponurym zamku nad brzegiem morza, otoczona płatnemi sługami. Teraz widzę jak błędnie postępowałem, tłumiąc w sobie uczucie ku swemu jedynemu dziecięciu. Ale zapóźno! straconych lat nie wrócić!

— Możesz jeszcze naprawić to, wuju—rzekł Adalbert.

— Tak, mogę jej teraz dać stanowisko mojej córki, ale to będzie z krzywdą twoją. Cały mój majątek powinien dostać się Lucy.

— Tak musi być, wuju, i ty nie możesz inaczej postąpić.

— Niech cię Bóg błogosławi za te słowa. Ale co z tobą stanie się teraz? W głowie mam plan: jeśli go spełnisz, lżej mi będzie umierać i sumienie moje się uspokoi. Jestto moje ostatnie życzenie, ostatnia prośba do ciebie, którego zawsze kochałem, jak rodzonego syna. Adalbercie, czy spełnisz tę moją prośbę?

— Z chęcią, wuju, jeśli będę w możności.

— Przyrzecz mi, że ożenisz się z Lucy.

Adalbert zbladł, ojciec smutno spojrzał na niego.

— Wiem—mówił—że kochasz Gabryelę von Belling; ale to napróżno. Ty zanizko stoisz dla tej dumnej kobiety, właśnie przed niedawnym czasem zaręczoną została księciu S. Moja mała Lucy, jeśli podobna do swej matki, będzie ci dobrą żoną.

Adalbert nie odpowiadał, na twarzy jego malowało się silne wzruszenie.

— Decyduj się prędko—szepnęła jego matka —ty uszczęśliwisz tem wuja i dziedzictwo będzie twoje.

— Wuju—przemówił nakoniec głuchym głosem—czy to prawda, co przed chwilą powiedziałeś o Gabryeli?

— Prawda — rzekł uroczyście ojciec — ja sam podpisywałem kontrakt ślubny, tylko małżeństwo odłożone z powodu śmierci matki księcia.

Adalbert zakrył twarz rękami, a ojciec, który widocznie słabł coraz bardziej, wyrzekł cicho:

— A teraz, Adalbercie, czy spełnisz moją prośbę?

— Tak, wuju—odpowiedział głucho.

— Dzięki ci, mój synu; lecz jeszcze jedno uczyń dla mnie: niech cię zobaczę spełnienie mego życzenia, niech was połączę węzłem małżeńskim jutro...

— Tak prędko?—zawołał Adalbert.

— Tak, wtedy umrę spokojny, widząc los mojej córki w twoich rękach. Ty będziesz dobrym dla niej, tak jak ja byłem zawsze dobrym dla ciebie.

— Będę dla niej dobrym, wuju—wyrzekł uroczyście Adalbert.

W głowie mojej szumiało. Uczucie szczęścia i gniewu za takie dobrowolne rozporządzanie mojem życiem, napełniało całą moją istotę. Jak przez mgłę przypominam sobie, że baronowa objęła mnie i nazwała córką, później panna Blumberg zaprowadziła mnie do mego pokoju, gdzie zmęczona podróżą i nieznanemi wzruszeniami, zasnęłam wkrótce.

O! Maryanno! nie potrafię ci opowiedzieć, jak kochałam Adalberta! Pomyślisz może, że za młodą byłam, żeby rozumieć nawet to słowo „miłość.“ Nie! Choć prawie dzieckiem byłam, uczucie to zawładnęło całem mojem sercem. Po wspomnieniu o matce, droższym nad wszystko w świecie był mi portret Adalberta, a od chwili, gdym go żywego ujrzała, od tej chwili chętnie umarłabym za niego. Gdym przebudziła się do życia, które mi się zdawało dalszym ciągiem snu, dwa uczucia napełniały całą moją istotę: niepokój o życie ojca i miłość dla pięknego mego kuzyna, którego byłam narzeczoną.

Nikt w całym domu nie wiedział o tem co ma się spełnić jutro w pokoju mego ojca. Panna Blumberg nie mogła przyjść do siebie z zadziwienia, i powtarzała co chwila: Lucy, więc to naprawdę wychodzisz zamąż.

W czasie naszego ślubu, ojciec mój był jeszcze bledszy i słabszy. Leżał nawpół siedząc, na wysoko podniesionych poduszkach, a kamerdyner, który był też świadkiem ślubu mojej matki, podtrzymywał jego głowę. Baronowa stała obok mnie.

Jedna chwila i złota obrączka zabłysła na mojm palcu. Baronowa uścisnęła mnie, Adalbert złożył zimny pocałunek na mojem czole. Był to pierwszy i ostatni pocałunek. Jakkolwiek zmroził on krew w moich żyłach, jednak w tę chwilę miałam ochotę umrzeć, ale umrzeć na piersi mego męża. Biedny ojciec słabo uśmiechnął się do nas; przeżył jeszcze ten pamiętny dla mnie dzień, ale zachodu słońca już nie zobaczył.

Nie mogę ci wypowiedzieć Maryanno, jak dziwnego uczucia doznałam, gdy panna Blumberg poraz pierwszy nazwała mnie baronową von Denner; zdawało mi się, że słyszę to we śnie. Do pogrzebu mego ojca nie opuszczałam swego pokoju; dopiero gdy skończyła się ta smutna ceremonia, wyszłam do bogatej bawialni pustej w tej chwili i usiadłszy na małej, zasłoniętej filarem kozetce, zmrużyłam oczy i napół zasnęłam, rozmyślając nad swem dziwnem położeniem. Naraz, o uszy moje obiły się obce głosy, po których poznałam Adalberta i jego matkę i jednocześnie owładnęła mną dziwna niemoc, w skutek której nie mogłam się odezwać, ani nawet poruszyć na mojej ukrytej sofce. Gdybym wtedy mogła dać im znać o sobie, losy moje inaczejby się złożyły. Głosy coraz wyraźniej mnie dochodziły, tak że mogłam zrozumieć ich znaczenie.

— O! matko!—mówił Adalbert—nacóż mi teraz majątek? Lepiej być ubogim a swobodnym.

— Naturalnie że jesteś krępowany, pod pewnym względem; lecz uważ, że teraz będziesz w możności odkupić nasz rodzinny majątek, nad którego stratą ojciec twój tak bolał.

— Lecz za jaką cenę!—przerwał Adalbert.

— Lucy jeszcze się rozwinie; to prawie dziecko, i z czasem może się stać piękną kobietą: właściwieby było oddać ją na kilka lat na pensyą.

— Może być najlepsza—mówił w rozdrażnieniu—ale to takie brzydkie, czarne dziecko. Jaka różnica z moją złotowłosą Gabryelą. O! jak chętnie wyrzekłbym się całego majątku, żeby tylko być swobodnym.

— Żal mi ciebie, mój drogi—mówiła matka— świetną mógłbyś zrobić teraz partyę; lecz ja mam nadzieję, że i Lucy będzie podobną do swego szlachetnego ojca nie do niegodnej swej matki.

Ostatnie słowa wytrzeźwiły mnie zupełnie. Jak szalona zerwałam się z mojej kryjówki i stanęłam w obec nich z rozognionem licem.

— O mnie możecie mówić, co wam się podoba: żem źle wychowana, brzydka i jestem wam ciężarem; lecz jeżeli wam życie miłe, nie śmiejcie odzywać się z lekceważeniem o mojej matce.

— Lucy—napominała baronowa—ty nie powinnaś była podsłuchiwać.

— Bynajmniej nie podsłuchiwałam. Przyszłam tu spocząć przed godziną i słowa wasze, poniżające moją matkę rozbudziły mnie. Adalbercie—rzekłam zwracając się do mego męża—ja nie chcę być tobie ciężarem. Matka moja w małżeństwie swem była nieszczęśliwa, chociaż kochała mego ojca i umarła z rozbitem sercem. I ja kocham ciebie Adalbercie, kocham pomimo tego, że mnie nienawidzisz. Weź mój majątek, wszak dla niego tylko ożeniłeś się ze mną; ja się usunę, umrę dla świata i przeszkadzać ci w nim nie będę.

— Nie pomyślałaś nad tem, co mówisz, Lucy —rzekła moja świekra.

— Baronowo von Denner — przerwałam jej drżącym od gniewu głosem—obraziłaś pamięć mojej matki, z tobą nie mam nic do czynienia; chcę rozmówić się poraz ostatni z moim mężem.

— I z taką furyą ty będziesz żył Adalbercie! —zawołała załamując ręce.

— Przestań, matko — wyrzekł spokojnie mój mąż—niechaj Lucy powie, czego sobie życzy.

— Nie wiele—odpowiedziałam równie spokojna napozór—życzeniem mojem jest, nigdy nie spotkać się z tobą. Jeśliby samobójstwo nie było zabronionem przez naszą religią, ja chętnie umarłabym i ciebie oswobodziła; lecz i tak możesz mnie uważać za nieistniejącą wcale. W tej chwili wyrzekam się ciebie i twego nazwiska; zostawiam sobie to tylko, co przedtem ojciec mi dał: zamek nad brzegiem morza, tam osiądę i do końca życia go nie opuszczę.

(d. c. n.)

SPROSTOWANIE.

W Numerze 38, zamiast Antropologia powinno być *Antologia*, w dziale Bibliografii. Zamiast czadu, powinno być *czaru*, w Sprawozdaniu z prelekcyi Henryka Sienkiewicza.

Do dzisiejszego N-ru dołącza się: Rycina kolorowana i Dodatek powieściowy, Lord Brackenbury, 9.

Дозволено Цензурою. Варшава 26 Декабря 1880 года.

W Drukarni J. Bergera, ulica Elektoralna Nr 14. Redaktorka i Wydawczyni **Marya Ratyńska.**